

Nieuleczalna miłość



Wiktoria i René Śliwowsky,
Rosja – nasza miłość,
wydawnictwo Iskry,
Warszawa 2008

Po książkę Wiktorii i Reného Śliwowskich sięgnęłam z ciekawości połączonej z czymś w rodzaju obowiązku: przed jedenastu laty pisałam u profesora Śliwowskiego pracę magisterską (na rusycystyce). A magistrantów miał profesor zawsze dużo. Dostać się do niego na seminarium nie było łatwo. Może dlatego, że zostawiał nam „wolną rękę” i ograniczał się do bardzo lakonicznych i zdawkowych uwag? A może dlatego, że translatoryka, dopiero co wchodząca jako przedmiot prac magisterskich, cieszyła się dużym zainteresowaniem, a Śliwowski zajmował się tym wówczas jako jedyny? Mimo to mam wrażenie, że praca dydaktyczna ze studentami nie była ulubionym zajęciem profesora; z pewnością bliższa mu była i jest praca naukowa. Tę tezę potwierdza lektura książki.

Wspomnienia małżeństwa Śliwowskich to kopalnia wiedzy o Rosji, poczynwszy od 1949 roku, aż po pierwszą dekadę XXI wieku. Na tle tytułowej Rosji (przez długi czas – Związku Radzieckiego) poznajemy Wiktorię i Reného,

ich przyjaciół i znajomych (zarówno polskich, jak i rosyjskich), historyków, literatów, różnych artystów. „Rosyjska” część dzieła została poprzedzona krótkimi prezentacjami środowisk rodzinnych oraz dzieciństwa i młodości autorów.

Książka jest wspólną opowieścią dwojga ludzi – jedno uzupełnia relacje drugiego. Często ten sam problem, zjawisko czy sytuacja są przedstawione dwugłosem, innym razem każdy z autorów pisze o własnych, indywidualnych przeżyciach.

Podczas lektury mimowolnie konfrontowałam „Rosję według Śliwowskich” z wizją Andrzeja Drawicza, zawartą w kilkakrotnie cieńszym *Pocałunku na mrozie*. Obie książki skupiają się na środowiskach literackich – pisarzach, poetach, historykach literatury, choć nie tylko. (Na marginesie – *Pocałunek* ukazał się prawie dwie dekady temu, ale się nie zestarzał. Może warto pomyśleć o wznowieniu?)

Centralny Dom Literatów, jedną z najważniejszych instytucji literackich w ZSRR, Śliwowsky przedstawiają z sympatią – niezłe i tanie jedzenie, kawiarnia, ormiańskie koniaczki, możliwość spotkania ciekawych ludzi: „CDL to spory kombinat gastronomiczno-kulturalny. W ogromnej sali, mieszczącej tysiąc, a może więcej osób, odbywają się rozmaite imprezy: kinowe (wyświetlają tu filmy, które nie pojawiają się na ekranach), estradowe (tu słuchaliśmy między innymi recitali Jacques’a Brela), jubileuszowe (byłem jeszcze sam na świętowaniu którejś z kolei rocznicy zdomowionego tutaj Nazima Hikmeta, tureckiego poety opozycjonisty; niewymuszoną atmosferę wprowadził Korniej Czukowski, powszechnie znany i lubiany pisarz, poeta, działacz społeczny, który zagaił uroczystość słowami: »Skolko zim, skolko let,

dorogoj Nazim Hikmet...«), konferencje i odczyty. Mniejsze uroczystości organizowano w salach przeznaczonych na kilkuset uczestników”. Istotne było, że w przeciwieństwie do zwykłych restauracji, gdzie obowiązkowo dokooptowywano kogoś do stolika i „o żadnej swobodnej rozmowie nie było wówczas mowy, CLD był pod tym względem unikatowy – zawsze wolne stoliki i nikogo nie »dosadzano«. Podobnie jak analogiczne Domy Dziennikarzy, Filmowców czy Dom Uczonych. Nic dziwnego, że spędzaliśmy tu sporo czasu, po obiedzie przesiadując w przytulnej kawiarni. Na ogół w jakimś towarzystwie”.

zupełnie inną charakterystykę CDL znajdziemy u Drawicza w rozdziale *Lekcja sowieckiego*, gdzie opisał spotkanie grupki polskich delegatów literackich – obserwatorów Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów w 1957 roku – z przywództwem Związku Pisarzy Radzieckich. „Przyjęto nas w Centralnym Domu Literatów (potocznie nazywanym »żmijowiskiem«)” – zaczyna. Dalej następuje opis rozprawy z nieprawomyślnymi polskimi literatami, z której jednak ci ostatni wychodzą obronną ręką: „(...) Lekcja była dobra. Jestem wdzięczny losowi. Potem bywałem w CDL dziesiątki razy: w restauracji, w biurach, w redakcji »Junosti«, na pokazach filmowych. Były to jednak przedśionki, kuluary i zaplecza. W samo centrum trafiłem tylko raz, wtedy; oglądając – choć na jałowym biegu – związkową machinę do łamania ludzi. Mam ciągle w uszach jej szcęk: *Tolko tiepier’ ja wiżu, czto w proszłom godu nado nam było s wami pojtii na bolszuju draku...“.*

Warto w tym miejscu wspomnieć atmosferę i stosunki panujące w środowisku radzieckich literatów lat siedemdziesiątych, widziane

oczami Marii Arbatowej¹: kariery przez łóżko nie były czymś rzadkim („Gdzież ja cię wezmę do pracy?... W Związku Pisarzy pracują tylko sami swoi. Gdybyś była córką, żoną, kochanką...”), kwitło donosicielstwo, anonimy, na głębokiej prowincji znajdowano młodych ludzi, absolutnie przeciętnych, ale plastycznych, dających się ukształtować wyżej stojącej zhierarchizowanej miernocie władz literackich; tak formowały się dalsze kariery lizusów, pochlebców, którzy nie dopuszczali do struktur rzeczywistych talentów literackich.

Zarówno we wspomnieniach Śliwowskich, jak i Drawicza podkreślana jest sympatia Rosjan wobec Polski i Polaków. „Krażyłem od domu do domu, polecany przez jednych następnym. Działa bezwzględny system rekomendacji. Ludzie mający do siebie wzajemne zaufanie podawali mnie sobie po kolei” – wspomina Drawicz. Śliwowski: „... nasi krewni, powinowaci i znajomi zaopatrywali nas przed wyjazdem w listy polecające i adresy bliskich, u których mogliśmy – jeśli zajdzie taka potrzeba – znaleźć przytulisko lub sympatycznie spędzić wieczór”. Miło polskiemu czytelnikowi dowiedzieć się, że „Polska była wtedy modna, więc przekazywano nas sobie z rąk do rąk. Urywały się telefony. Krąg naszych znajomych później też rozszerzał się dość łatwo, bo w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych często bywaliśmy w ZSRR. Wykorzystywaliśmy wszystkie możliwości wyjazdu, jakie dawała współpraca w zakresie naukowym, oraz przysyłane nam prywatne zaproszenia. Inne nasze podróże – do Francji i Belgii, a także na Węgry i do Czechosłowacji, także odbyte dzięki stypendiom czy też zaproszeniom od rodziny i przyjaciół lub uniwersytetów (...).”

Jak wielokrotnie wspominają Wiktoria i René, potem następowały rewizyty; na wielu stronach przewija się wątek goszczenia przez nich rosyjskich przyjaciół, pisarzy, poetów, historyków. Polska była krajem bratnim, acz nieprawomyślnym. Drawicz pisał o Josifie Brodskim, że był „zajadłym polonofilem. (...) Polska była tuż, o miedzę, a niedostępna; stąd i wiersze o Monte Cassino, i obraz zatrzaśniętej na głucho granicy, ponad którą »żurawie ciemności nieustannie lecą ku Warszawie«. Znał polski i lubił się tym chwalić, rwał się ku nam, a nie było przecież sposobu, żeby go zaprosić. Jedyne, co mogliśmy dla niego zrobić, to sprawić, żeby w różnych przekładach ukazało się w naszych czasopismach i antologiach kilkanaście jego wierszy – z głupia frant, dzięki niedoinformowaniu cenzury, która nie miała przecież pełnego spisu prawomyślnych poetów Związku”.

Kilka aspektów w książce Śliwowskich wydaje mi się być wtórnymi wobec pracy Drawicza: rzecz jasna, opisywane są te same miejsca i to samo z grubsza środowisko, niekiedy ci sami ludzie, jednak rozdział *Pisarze i ich żony* jako żywo przypomina Drawiczowski *Mieć dobrą wdowę*, a rozdziały opisujące poszczególnych przyjaciół nasuwają na myśl wyliczankę *Twarze moich przyjaciół*.

Do niewątpliwych walorów tomu wspomnień Śliwowskich należą świetne opisy radzieckich realiów – autentyczne scenki z życia: przerwy obiadowe w restauracjach, „dni sanitarne” (instytucje były nieczynne z powodu rzekomych porządków i dezynfekcji – raz w miesiącu), *etazne* w akademikach i strażniczki w domach literatów, czyli kobiety pilnujące kto i do kogo wchodzi i wychodzi (rzecz jasna, pracujące nie na jednym etacie);

¹ M. Arbatowa, *Na imię mi kobieta*, Warszawa 2005.

realia radzieckiego międzynarodowego akademika, kłopoty z dostaniem się na koncerty i wieczory poetycko-piosenkarskie, problemy mieszkaniowe: ciasne komunałki i tonące w błocie nowe osiedla na peryferiach; świetne obserwacje zachowań ludzi, którzy w nienormalnych, często absurdalnych warunkach starali się żyć normalnie; wspaniałe opisy miast, zwłaszcza *Pitra*, czyli Leningradu-Petersburga, realistyczne, ale i epatujące szczera miłością; wreszcie – wzajemne oddziaływanie i więzi literackie, wymiana dostępną literaturą, przemykanie książek przez granicę. Wspaniałe znajomości i przyjaźnie, trwające długie lata, przenoszone nieraz na kolejne pokolenia. I niezliczone anegdoty, nieraz doprowadzające czytelnika do łez...

Jeszcze kilka szczegółów, bo – jak wiadomo – w nich tkwi diabeł. Autorzy zaznaczyli, że Armenia, Gruzja, Uzbekistan, Odessa czy Kijów „nie wpisują się w konstrukcję książki”, choć o nich wspominają. Jednak zdanie: „Po chwili wysiedliśmy w naszych Gagrach: cisza, zapach eukaliptusów, spokój, odetchnęliśmy z ulgą. No dobrze, my wysiedliśmy, ale pociąg jedzie dalej... Podobnych lekcji – spotkań z taką Rosją – mieliśmy niewiele” zaskakuje: Gagra (nie Gagry!) to miasteczko w Abchazji (formalnie część Gruzji), żadna Rosja... Niedopatrzenie? Przeoczenie? Podobnie Rasuł Gamzatow z Dagestanu został określony w książce jako poeta „azerski”, podczas gdy był on Awarem i pisał w języku awarskim.

Błędy językowe, na przykład *opus* użyte w rodzaju męskim, określenie *dochodiaga* w łagrze przetłumaczone jako „mużułmanin”, a nie prawidłowo „mużułman”. Tłumaczenie zwrotów, fragmentów korespondencji prowadzonej w języku rosyjskim w kilku miejscach zaskakuje niezgrabnością czy nieporadnością. Jednak przy pracy o objętości ponad pięciuset stron (sam indeks osób zajmuje około pięćdziesięciu stron!) usterki – choć nie powinny mieć miejsca – schodzą na dalszy plan.

Rosja – nasza miłość niewątpliwie zasługuje na przeczytanie. Jest bogatym źródłem wiedzy i świadectwem całej epoki, sposobu życia i myślenia ludzi, którzy całe życie poświęcili Rosji, badaniu jej literatury, historii, przepłatanym polskimi losami. „U podnóża naszej miłości do Rosji leżała przecież nieustanna fascynacja jej osiągnięciami zarówno wieków minionych, jak i współczesności. (...) Pisząc stopy recenzji, artykułów, relacji, rozpraw w wydaniach zbiorowych, sporo tłumaczeń na język rodzimy, wreszcie kilka książek, nie tylko zdobywaliśmy stopnie naukowe, ale cały czas towarzyszyła nam świadomość wielkiego szczęścia, jakie przypadło nam w udziale – praca przynosiła radość. Lubić to, co się robi w ciągu całego dorosłego życia, to wielki dar. To z nim łączą się nierozzerwalnie wszyscy wspaniali Rosjanie, jakich spotykaliśmy na swej drodze”.

Katarzyna Rawska-Górecka



Od redakcji

W poprzednim numerze zabrakło informacji, że tłumaczką książki Piotra Rudkouskiego *Powstawanie Białorusi* jest Joanna Bernatowicz.